

Płk. Witold Pilecki: Raport (fragmenty)

Wiadomym było, że Niemcy w stosowaniu represji są bezwzględni i uśmiercają rodziny, wykazując w takich wypadkach bestialstwo, na jakie ich tylko stać. Jak wygląda bestialstwo? – któż od nas lepiej wiedział – przeczytaj fragment raportu rtm. Witolda Pileckiego. W sobotę 25 maja mija 71. rocznica zabójstwa polskiego bohatera dokonanego przez oprawców komunistycznego systemu opresji w warszawskim więzieniu przy ul. Rakowieckiej.

Teraz chciałbym napisać o początku montowanej tam (w Auschwitz - red.) pracy. W tym czasie zasadniczym zadaniem było założenie organizacji wojskowej, w celu: podtrzymywania kolegów na duchu przez dostarczanie i rozpowszechnianie wiadomości z zewnątrz, zorganizowanie w miarę możliwości dożywiania i rozdzielania bielizny wśród zorganizowanych, przekazywanie wiadomości na zewnątrz, oraz jako uwieńczenie wszystkiego przygotowywanie oddziałów własnych do opanowania obozu, gdy nadejdzie nakaz chwili w postaci rozkazu zrzućcia tu broni lub desantu.

Zacząłem pracę tak jak w 1939 r. w Warszawie, nawet z niektórymi ludźmi, których sam niegdyś wciągałem do TAP w Warszawie. Zorganizowałem tu pierwszą „piątkę”, w skład której zaprzysiągłem płk.1, kpt.dr.2, rtm.3, ppor.4, oraz kolegę 5 (klucz z nazwiskami odpowiadającymi tym liczbom napiszę osobno). Dowódcą piątki został płk.1. Dr.2. dostał rozkaz opanowania sytuacji w szpitalu więźniarskim

(Häftlingskrankenbau - HKB), gdzie już pracował jako „fleger” (Polacy oficjalnie nie mieli prawa być lekarzami, mogli być tylko pielęgniarzami).

W listopadzie posłałem pierwszy meldunek do Komendy Głównej w Warszawie, przez ppor.6. (mieszkał on do Powstania w Warszawie, przy ul. Raszyńskiej nr 58), pracownika naszego wywiadu, wykupionego z Oświęcimia.

Płk.1 przeniósł działanie na teren biura budowlanego (Baubüro).

W przyszłości zorganizowałem jeszcze cztery piątki. Każda z tych piątek nie wiedziała o istnieniu innych piątek, sądziła, że jest szczytem organizacji i rozwijała się tak szeroko, jak suma zdolności i energii jej członków na to pozwalały. Robiłem to przez ostrożność, żeby ewentualna wpadka jednej piątki, nie pociągnęła za sobą piątki sąsiedniej. W przyszłości piątki w szerokiej rozbudowie zaczęły się stykać i wzajemnie się wyczuwać. Wtedy nieraz przychodzili do mnie koledzy z meldunkiem: „Wiesz, tu się kryje jeszcze jakaś organizacja”. Uspokajałem, że to nie powinno ich obchodzić.

(...)

Tymczasem pierwsza „piątka” zrobiła już „parę kroków” naprzód, zaprzysiężono kilku nowych członków. Jednym z nich był kpt. „Y”. Na imię miał Michał. Kapitan Michał podchodził do sprawy w ten sposób, że pomagał rano przy ustawianiu piątek do pracy. Przy kapach wymyślał kolegom i zrzędził, równając szeregi oszczędził niejednemu

więźniowi kapowego kija, robił sam wiele ruchu i hałasu, a mrugał znacząco do współtowarzyszy, gdy kapo stał do nich plecami. Kapowie zdecydowali, że nadaje się na „dwudziestkowego” i powierzyli mu cztery piątki, robiąc z niego „Vorarbeitera”. Ten właśnie Michał uratował mnie w dzień krytyczny, gdy musiałem gdzieś zniknąć z oczu kapów. Wpakował mnie do dwudziestki zaprzyjaźnionego już „unterkapa”, w jednym z komand wychodzących przez bramę do pracy.

(...)

Gdy się spotkałem z Władkami (płk. 1 i dr. 2), Władek 2 pytał zawsze: „No, Tomasz, jak się czujesz?” Odpowiadałem z wesołą miną, że czuję się doskonale. Początkowo dziwiono się, później się przyzwyczajono i wreszcie uwierzono, że się czuję doskonale. Nie mogłem odpowiadać inaczej. Chcąc prowadzić „pracę” - mimo, że koledzy zabrali się do tego szczerze i jeden zdołał umocnić swe stanowisko w szpitalu, gdzie zaczął coś znaczyć, a drugi rozbudowywał piątkę w biurze budowlanym - musiałem jeszcze stale sugerować, że i tutaj praca jest zupełnie możliwa i zwalczać psychozę, której już zaczął ulegać Nr 3. Co by było, gdybym się choć raz poskarżył, że jest mi źle, lub że jestem słaby i że właściwie przyparto mnie pracą tak, iż sam, dla ratowania swego życia, szukam wyjścia... Jasne, że wtedy nie mógłbym ani sugerować niczego innym, ani czegokolwiek od kogoś wymagać... Więc było mi dobrze - na razie tylko dla innych - a potem, o czym napiszę niżej, powoli doszło do tego, że pomimo ciągłych zagrożeń i napiętych nerwów stało mi się naprawdę dobrze, nie tylko w słowach kierowanych do innych.

Nastąpiło niejako rozdwojenie. Wtedy, gdy ciało było stale udręczone, duchowo człowiek czuł się czasami - nie przesadzając - wspaniale. Zadowolenie zaczęło się gnieździć gdzieś w mózgu, tak z powodu przeżyć duchowych, jak i z powodu ciekawej gry, czysto intelektualnej, którą prowadziłem. Należało jednak przede wszystkim własne ciało jakoś uchronić od uśmiercenia. Dostać się jakoś pod dach, żeby uniknąć wykończenia się spowodowanego potwornymi warunkami atmosferycznymi pod gołym niebem.

Marzeniem Sławka było dostać się do rzeźbiarni w stolarni. Później miał się starać, by i mnie tam wciągnąć. Były w obozie już dwie stolarnie. Jedna, wielka, na „Industriehof I”, druga - mała, w samym obozie na bloku 9 (stara numeracja). Do tej stolarni zdołał się już dostać mój kolega z pracy jeszcze w Warszawie, kpt.3, imieniem Fred. Pytany, poinformował mnie, że może i mnie by się udało tam dostać, gdybym potrafił przekonać czymś Vorarbeitera stolarni. Był nim volksdeutsch - Westrych Wilhelm - pochodzący z Pyr pod Warszawą. Siedział tu za handel walutą i czekał na rychłe zwolnienie. Westrych, jakkolwiek volksdeutsch, jednak na dwóch stołkach siedzący. Pracując dla Niemców, czasami ratował Polaków, jeśli czuł, że może to mieć dla niego jakąś korzyść w przyszłości. Chętnie ratował jakieś byłe znakomitości, by później, jeśli Niemcy przegrają - dla wybielenia tych lat pracy - powołać się na uratowane przez siebie osoby. Należało więc stać się jakąś byłą znakomitością. Wtedy zdecydowałem się pójść „na całego”.

(...)

Tu przyszli mi z pomocą koledzy. W wielkiej stolarni na „Industriehofie I” pracowało już paru członków naszej organizacji, a jeden z nich, Antek (14) był tu nawet majstrem dozorującym pracę. Pracował tu również i Czesiek (9). Antek (14) zaprowadził mnie do kancelarii Balkego i przedstawił jako dobrego stolarza. Na pytanie, co umiem, odpowiedziałem zgodnie z pouczeniem Antka, że umiem pracować na maszynach. A właśnie sprowadzano i ustawiano maszyny w stolarni. Balke się zgodził.

Na razie zadekowano mnie przy warsztatach, które były pod kierownictwem Władka Kupca. Robota nie była uciążliwa. Władek Kupiec był to wyjątkowo porządny chłop i dobry kolega. Siedziało ich tu sześciu braci. Spotkałem tu też paru przyjaciół, jeden nazywał się Witold (15), drugi Pilecki (16).

Po kilku dniach pracy w stolarni zorganizowałem tu drugą „piątkę”, do której weszli: Władek (17), Bolek (18), Witold (15), Tadek (19), Antek (14), Janek (20), Tadek (21), Antek (22).

Po paru tygodniach pracy posłyszałem, jak mówiono tu wśród kolegów, że płk. 23 i ppłk.24 projektują pewien zamach w obozie, przy tym ppłk.24 ze zdrowymi więźniami pójdzie na Katowice, natomiast płk. 23 z chorymi pozostanie na razie na miejscu. Ze względu na naiwność planowania i dekonspirowanie podobnych projektów, wobec szerszego ogółu więźniów unikałem rozmów na tematy organizacyjne z tymi oficerami i w ogóle w pierwszym okresie unikałem wprowadzania do organizacji oficerów starszych stopniami, którzy tu siedzieli pod własnymi nazwiskami (prócz płk. 1, do którego miałem całkowite

zaufanie), a to z tego powodu, że oficerowie, o których władze obozu oficjalnie wiedziały, w momencie wzbudzenia podejrzeń mogą być zamknięci w bunkrze i dręczeni, mogą być wystawieni na ciężką próbę milczenia.

Tak było w pierwszej fazie pracy organizacyjnej. Potem było inaczej. W kwietniu i maju 1941 roku przyszły wielkie transporty Polaków - więźniów z Pawiaka. Przyjechało wielu moich znajomych. Tworzę więc trzecią „piątkę”, do której wciągam mego byłego zastępcę w pracy w Warszawie „Czesława III” (25), Staśka (26), Jurka (27), Szczepana (28), Włodka (29), Genka (30). Organizacja rozwija się już w szybkim tempie.

(...)

Przyjaciół moich, co przyjechali z Warszawy (kwiecień-maj 1941 r.), których wciągałem do roboty organizacyjnej, udało mi się ulokować pod dachem. Kolegów 25 i 26 ulokowałem w komandzie „Fahrbereitschaft” przez naszego członka 33, który rządził się w tym komandzie jak u siebie. Kolegę 27 przez dr. 2 - w szpitalu jako pielęgniarza. Kolegę 34 - w szpitalu jako sekretarza, przez ppor. 4, itd. Na bloki 11 i 12 (wiosna 1941 r., stara numeracja) „zugangów”, gdzie przywożono nowych kolegów, chodziłem często szukać znajomych, wybierać kolegów do pracy, lokować pod dach, ratować. Tu pewnego dnia spotkałem niespodzianie rodzinę Czetwertyńskich: Ludwika, właściciela Żołudka i dwóch jego synów, oraz brata jego z Suchowoli. Jednocześnie spotkałem mego przyjaciela z partyzantki 1939 r. - pdch. 35. W parę dni później spotkałem również dwóch kolegów z pracy w Warszawie - 36 i 37.

Wszystkim im przyglądałem się bacznie, bo nigdy nie było wiadomo, jak taki przyjaciel się zachowa po przejściu w Warszawie Alei Szucha i Pawiaka. Niektórzy byli wycieńczeni, niektórzy - załamani. Nie wszyscy tu nadawali się do pracy organizacyjnej, do nowej konspiracji. Mjr. 38, który pracował u nas w Warszawie pod pseudonimem „Sęp II”, przy pierwszym spotkaniu na placu w Oświęcimiu (lato 1941 r.) rzucił się ku mnie z radością, głośno wołając: „Pan tutaj? A mnie w Warszawie gestapo d... w kratki posiekło, pytając: gdzie jest Witold? Dawno pan siedzi? Jaki numer pan ma... Jak pan to zrobił? Ja pana przecież przed dwoma miesiącami widziałem w Warszawie i tak twierdziłem na Alei Szucha. Nie ścisząc głosu gadał przy kilkunastu moich kolegach i rozkonspirował mnie, bo przecież tu byłem Tomaszem. Dobrze, że drani między nami nie było. A tego, „jak ja to zrobiłem, że byłem dwa miesiące temu w Warszawie”, nie tłumaczyłem niczym innym, jak tylko tym, że on po biciu na Alei Szucha dostał już lekkiego obłądu. Okazało się znacznie później, że należało to tłumaczyć czym innym.

Z kilkunastu starych znajomych z pracy, którzy w tych miesiącach przyjechali, najbardziej mi się tu przydali 25 i 29, do których prawie takie miałem zaufanie, jakie do siebie samego.

(...)

W lipcu 1941 r., gdy przechodziłem na placu koło grupki kilkunastu młodych chłopców (16-17 lat), przywiezionych tu z ławy szkolnej za to, że śpiewali piosenki patriotyczne, jeden z nich rzucił się do mnie z okrzykiem: „A! Wujek!” Nowa dekonspiracja... Ucieszyłem się jednak - nie tym, ma się rozumieć, że go przywieźli - wiadomościami od swoich.

W parę tygodni później w maszynowni stolarni „werżnęły” się w moją twarz czyjeś oczy, bez mrugnięcia przyglądające mi się uważnie. Wzrok wytrzymałem. Człowiek ten, niewysokiego wzrostu, więzień-Polak, podszedł do mnie i zapytał, czy jestem XY, wymieniając moje prawdziwe nazwisko. Powiedziałem, że to pomyłka. Lecz nie dał się zwieść, zapewniając, że jego nie potrzebuję się bać. Parę tygodni później był zaprzysiężony i pracował u nas jako 40. W stolarni miał pracę, w maszynowni.

W stolarni też powiększyłem nasze szeregi zaprzysięgając trzech dzielnych Polaków: 41, 42, 43. Wkrótce weszli do naszej pracy: 44, 45, 46.

(...)

Gra, którą zacząłem prowadzić w Oświęcimiu, była niebezpieczna. Zdanie to nie oddaje rzeczywistości - właściwie daleko przekroczyłem to, co niebezpiecznym ludzie nazywają na ziemi - samo przekroczeniu drutów przy wejściu do obozu już było niebezpieczne. Toteż praca, którą tu rozpocząłem, frapowała mnie całego bez reszty, a że zaczęła rozwijać się coraz szybciej, zgodnie z planem, naprawdę zacząłem się obawiać, by rodzina nie wykupiła mnie jak innych kolegów, bo przecież również żadnej sprawy tu nie miałem i przyjechałem z łapanki. Toteż pisałem do rodziny, nie mogąc dekonspirować pracy, że jest mi tutaj naprawdę dobrze, żeby nie ruszali mojej sprawy, że chcę tu trwać do końca. Sam los rozstrzygnie, czy mi się uda wyjść, itd. Powrotną drogą otrzymałem odpowiedź, że Janek W., którego - gdy się dowiedział, gdzie

jestem - sumienie niepokoiło, pytał wszystkich: „dlaczego poszedł?”
Był jednak konsekwentny i rodzinie, która się zwróciła o pomoc w wykupieniu mnie, odpowiedział, że pieniędzy na to nie ma.

Znalazłem drogę, którą mogłem słać listy do rodziny, pisząc po polsku. Młodociany mój przyjaciel 47, chodząc do pracy w miasteczku, zdobył możliwości kontaktu z cywilami, przez których wysłałem dwa listy do rodziny. Listy moje były przekazywane do Komendy Głównej.

Z pierwszych współpracowników moich w Warszawie, tu w Oświęcimiu, prócz już wymienionych, spotkałem na początku 1941 roku Stacha - 48, którego wywieźli do kamieniołomów i latem 1941 roku Janka - 49, którego udało się jako chorego umieścić w transporcie do Dachau, które w porównaniu z Oświęcimiem było o wiele lepszym obozem.

Powtarzające się próby ucieczek spowodowały, że władze obozu zdobyły się na stosowanie odpowiedzialności solidarnej i za ucieczkę jednego rozstrzeliwano dziesięciu więźniów (od wiosny 1941 r.). Wybranie dziesięciu na śmierć za jednego zbiega, było ciężkim przeżyciem dla obozu, a szczególnie dla bloku, z którego wybierano. Wtedy my jako organizacja ustosunkowaliśmy się do ucieczek wyraźnie negatywnie. Żadnych ucieczek nie organizowaliśmy i potępialiśmy wszelki odruch w tym kierunku jako przejaw krańcowego egoizmu aż do czasu, kiedy w tej dziedzinie nastąpiły zasadnicze zmiany. Na razie wszelkie ucieczki były czynem dzikim, nic z organizacją naszą nie mającym wspólnego.

(...)

Z podziału pracy wypadło, że wiadomości z zewnątrz regularnie otrzymywane przez nas ustaloną drogą, rozpowszechniała w obozie komórka złożona z trzech naszych członków. Jeden z nich, niezapomniany nasz „Wernyhora” - 50, na wszystkich skrzyżowaniach dróg otoczony gromadą więźniów wygłaszał stale optymistyczne przepowiednie. Był pożądanym i lubianym przez wszystkich.

Organizacja się rozrastała. W czasie mego pobytu w rzeźbiarni wciągnąłem do szeregów naszych paru przyjaciół - 53 i 54. Następnie 55, 56, 57, 58. Poza wciąganiem przeze mnie osobiście, każda piątka rozprzestrzeniała się, rozgałęziała wśród masy więźniów własnym przemysłem do różnych komand, budując odnogi w oparciu o znajomość sylwetki nowego kandydata. Tu wszystko funkcjonowało wyłącznie na wzajemnym zaufaniu. Toteż rozwiązując problem przewodzenia w poszczególnych grupach związanych z sobą, stanąłem na stanowisku oparcia się na poszczególnych dowódcach od mniejszych do większych, mając na względzie wyłącznie zalety osobiste danego przewodnika. Inaczej rozwiązać tego nie mogłem. Odrzucić należało wszelkie sugestie z ziemi. Nieważne było, kim kto był kiedyś w przeszłości, lecz ważnym było, by na każdym z dowódczych stanowisk był „chłop z ...”, który by w momencie czynu nie swym tytułem chciał ująć masę, gdyż masy tej przed tym momentem nie można było uświadomić, lecz by potrafił wcześniej milczeć, kiedy trzeba - świadomie porwać masę za sobą. Więc przedtem już musiał mieć sylwetkę wyróżniającą się działalnością, być tym, za którym by koledzy chętnie szli. Nie tylko musiał być dzielny, lecz także odznaczać się siłą wewnętrzną i taktem.

Taki drobny fakt - gdy się urabiało i dobierało ludzi, często wciągało się tych, co byli tu na stanowiskach. Zaprzysiężony komendant sali szedł potem na rękę, wydając repety i podtrzymując siły przysyłanym mu potrzebującym podkarmienia naszym członkom, oszczędzając niektórych na swej sali. Lecz jeśli ktoś, kto przyszedł urabiać do pracy sztubowego, nie umiał się zachować, nie miał taktu lub siły woli, by się powstrzymać od odruchu zagarnięcia miski repety dla siebie, to tu robota nasza spalała na panewce.

Co innego, że zwykle po paru rozmowach ze sztubowym, jeśli przychodzący miał siłę woli i nie wspominał o jedzeniu, choćby mu się kiszki skręcały, inicjatywa wychodziła od salowego; wtedy to jedzenie, które tu otrzymywał przychodząc, nie przeszkadzało w montowaniu tutaj sieci organizacyjnej. Niestety, było paru takich, którzy przychodząc w celach organizacyjnych do dopiero co poznanych sztubowych, przede wszystkim wysuwali menażki po repetę dla siebie. W takim wypadku praca dobrze pójść nie mogła. Sztubowy takich odwiedzających załatwiał miską zupy dla nich i na tym koniec.

(...)

Gdy się przeniosłem na blok 25 (listopad 1941 r.) spotkałem i poznałem bliżej kolegę, późniejszego mego przyjaciela, 59. Dzielny to był i wesoły chłop. Zorganizowałem nową „czwartą” piątkę, do której na razie prócz 59, wszedł 60 i 61. W tym czasie przywieziono do obozu między innymi kolegami dwóch oficerów starszych stopniem: płk. 62 i ppłk. dypl. 63. Zaproponowałem wejście do organizacji płk. 62, który się na to zgodził i zaczął pracować z nami.

Robiłem pierwsze odstępstwo, gdyż, jak wspominałem już, dotychczas unikałem oficerów wyższych stopni, którzy tu byli pod własnymi nazwiskami. Ponieważ jednak organizacja rozrastała się, koledzy dali mi do zrozumienia, że z powodu stronienia od oficerów wyższych stopni mogę być posądzony o wygórowane ambicje, a ponieważ nadarzała się sposobność uregulowania tej sprawy, gdyż przyjaciel 59 wynalazł płk. 64, który tu siedział pod fałszywym nazwiskiem i uchodził za stuprocentowego cywila, zaproponowałem płk. 64 firmowanie naszej pracy i podporządkowałem się jemu. Płk. 64 zgodził się z planem mojej dotychczasowej pracy i pracowaliśmy odtąd razem.

W tym czasie wprowadziłem do organizacji kolegów 65 i 66, a przy pomocy 59 - kolegów 67 i 68, z których pierwszy wkrótce zaczął nam przynosić wielkie korzyści, zdobywając stanowisko Arbeitsdiensta.

Nareszcie doczekałem się momentu, o którym kiedyś można było tylko marzyć - zorganizowaliśmy komórkę polityczną naszej organizacji, gdzie bardzo zgodnie współpracowali koledzy, którzy na ziemi zjadali się wzajemnie w sejmie: 69 - prawica, 70 - lewica, 71 - prawica, 72 - lewica, 73 - prawica, 74 - lewica, 75 - prawica, itd. Długi szereg naszych byłych polityków-partyjniaków. Więc trzeba było Polakom pokazywać codziennie górę trupów polskich, żeby się pogodzili i zdecydowali, że ponad różnice i wrogie stanowisko, jakie zajmowali w stosunku do siebie na ziemi, jest większa racja - zgoda i jeden front przeciwko wspólnemu wrogowi, którego przecież zawsze mieliśmy w nadmiarze. A więc racja zgody i racja wspólnego frontu zawsze była i zawsze znajdowała się w przeciwieństwie do tego, co czynili na ziemi: wieczne pieniactwo i żarcie się w Sejmie.

Z szeregu znajomych płk. 64 zaprzysięgłem 76 i 77, następnie wciągnąłem do pracy 78 i 79.

(...)

Tymczasem na ziemi - daleko, w Warszawie - awansowano mnie. Za montowanie TAP, za pracę nad zespoleniem w KZN, za przekreślenie ambicji własnych i, z chwilą upoważnienia gen. Sikorskiego, za dążenie do podporządkowania wszystkich oddziałów ZWZ, co było pierwszym powodem niezgody z 82, a kto wie, czy nie z tego powodu znalazłem się poza Warszawą. A jednak Janek W. podał wniosek i, jak twierdził „Bohdan”, 85 pilnował mojej sprawy i mówił mu, że bardziej mu zależy na moim awansie, niż na jego własnym. Płk. „Grot” awansował nas kilku z KZN. 82 i 85 zostali podpułkownikami. W ten sposób ja, nareszcie pod własnym imieniem, zostałem porucznikiem (czyli faktycznie cofnąłem się do roku 1935). Gdyby mi się tam, w piekle, wszystkie te sprawy z ziemi nie wydawały zbyt małe, byłyby gorzkie.

(...)

Tak dobiegał końca 1941 rok. Przyszła druga Gwiazdka w Oświęcimiu i druga paczka z domu - odzieżowa, bo żywnościowych jeszcze nie było. Na bloku 25, gdzie przychylnym dla naszej pracy okazał się blokowy, na sali 7, gdzie komendantem był 59, urządziliśmy choinkę z zawieszonym w ukryciu Orłem Polskim. Sala była udekorowana naprawdę z wielkim smakiem przez 44 i 45, przy niewielkim i moim udziale.

W wieczór wigilijny było przemówienie paru naszych przedstawicieli komórki politycznej. Czy Dubois mógłby na ziemi słuchać z zadowoleniem, jak przemawia Rybarski i po tym serdecznie uścisnąć mu rękę, lub odwrotnie? Jakież to byłoby kiedyś w Polsce rozrzewniający obrazek zgody i jak tam był niemożliwy. A u nas, na sali w Oświęcimiu, obaj zgodnie przemawiali. Co za metamorfoza...

Przez jednego volksdeutscha, Ślązaka, który jednak u nas pracował jako 81, zostałem powiadomiony o pewnej nowej akcji wydziału politycznego, która mogła mi osobiście poważnie zagrozić. Nas - starych numerów - było już bardzo niewiele. Szczególnie było to widoczne przy wypłacie pieniędzy. Pieniądze, przysyłane nam przez rodziny, były wypłacane miesięcznie: jednorazowo 30 marek lub dwukrotnie po 15. Przysyłane w większej ilości, pozostawały na koncie. Później zwiększono wypłatę do 40 marek miesięcznie.

Pieniądze można było wydać w kantynie obozowej, gdzie nabywano wszystko, co organizmowi szkodziło: papierosy, sacharynę, musztardę, czasami sałatkę na occie (marynaty). Do wypłaty pieniędzy dla porządku musieli stanąć wszyscy podług numerów. Kilka razy spędzano wszystkich, nawet tych, co wcale pieniędzy nie otrzymywali, żeby podpisali swoje konto. Wtedy właśnie łatwo było policzyć stojących w kolejności od pierwszych do ostatnich numerów i zorientować się, ilu jeszcze na setkę nas żyje. Spustoszenie w setkach było ogromne, szczególnie w transportach warszawskich. Może dlatego, że pierwsze transporty przed nami zajęły posady pod dachem, a nas kończono pod gołym niebem. Może też dlatego, że ludzie z Warszawy, jak mówili Ślązacy, są niewytrzymali. A może dlatego, że inni mieli większe niż my fory u władz lagru. Dość, że niektóre setki warszawskich transportów

liczyły dwóch ludzi. W naszej setce było nas sześciu. Były też setki o wielkiej stosunkowo liczbie ośmiu żyjących, ale były i takie, których już nik t nie reprezentował.

Wtedy właśnie wydział polityczny wpadł na pomysł sprawdzenia danych metrycznych wszystkich pozostałych przy życiu, zaczynając od pierwszych numerów, co przy znikomej już ilości nas, starych numerów, nie było trudne. A nuż się ktoś ukrywa pod fałszywym nazwiskiem, tak, jak na przykład ja. Dla wyłowienia podobnych „ptaków” wydział polityczny rozsyłał pisma do parafii z zapotrzebowaniem wypisów danych z ksiąg metrykalnych poszczególnych więźniów. Pisma kierowano do tych parafii, w rejonie których więźniowie się urodzili lub podali tak w swych zeznaniach przy badaniu.

Dla wyobrażenia sobie, jak wyglądała moja sytuacja, trzeba się cofnąć do 1940 roku do Warszawy. Społeczeństwo nasze w Warszawie bardzo chętnie szło z pomocą ludziom z konspiracji, szczególnie w pierwszym jej okresie, nie zastraszone jeszcze makabrycznymi reklamami koncentraków i Alei Szucha. Później już było trudniej z lokalami. Lecz początkowo zacne rodziny polskie chętnie oddawały i własną pracę i lokale na cele konspiracyjne. W pierwszym okresie miałem kilka mieszkań i kilka dowodów osobistych na najrozmaitsze nazwiska, meldowane w różnych mieszkaniach. Wtedy jeszcze można było, wychodząc na ulicę, zostawić dowód w mieszkaniu. Dowodów więc z sobą nie nosiłem, a w razie zatrzymania na ulicy nazwałbym się tak i takie wskazał mieszkanie, które w tamtej chwili było „najczystsze” i w którym miałem jeden z dowodów.

Jednym z mieszkań, w których pracowałem, było mieszkanie pani 83. Pewnego dnia pani ta powiedziała mi, że ma dowód zrobiony na prawdziwe nazwisko jednego z naszych oficerów 84, który wyjechał już do pracy w inny rejon, zanim ten dowód zrobili. Ponieważ wraz z dowodem była i karta pracy, zgodziłem się na propozycję pani 83, abym dowód ten po zamianie fotografii używał.

Gdy szedłem na łapankę, wziąłem ten dowód, gdyż nazwisko było, jak mi się słuszenie zdawało, jeszcze „nie spalone”. Miałem więc dowód człowieka (84), który gdzieś żył na wolności. W dowodzie jednak nie było wzmianki o imieniu i nazwisku panińskim matki. Gdy nas badano w nocy w Oświęcimiu, wkrótce po przywiezieniu do obozu, podałem zmyślone imię i nazwisko matki, gdyż jakieś podać musiałem. Teraz więc sytuacja była dość niepewna.

Gdy kolej przyjdzie na mój numer, a przyjdzie w ciągu paru miesięcy na pewno, i wydział polityczny wyśle zapotrzebowanie do parafii w miejscowości Z. po wyciąg danych z moich ksiąg metrykalnych, a właściwie pana 84 - imię i nazwisko panińskie matki nie będzie się zgadzać z podanym przeze mnie. A więc mnie wezwą, zapytają kim jestem i... koniec.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności koledzy z łapanki, około paru setek (o czym już wspominałem), byli na kwarantannie i mieli wyjechać wkrótce do Warszawy. Przez zwalnianego kolegę 14 przesyłam wiadomość do mojej szwagierki, pani E.O., z informacją, jakie nazwisko i imię matki tu podałem.

Wyjeżdża wtedy szereg kolegów, niektórzy pracownicy naszej organizacji; prócz 14 jedzie też 9. Jednocześnie na blok wolnościowy idzie płk. 1, który był zwolniony z obozu na skutek starań jego kolegi ze studiów w Berlinie, dziś zajmującego wyższe stanowisko w wojsku niemieckim. Przez płk. 1 przesyłam raport do Warszawy o pracy organizacji tutaj. Przez kolegę 86, który siedział tu jedynie za to, że się nazywał tak, jak jeden z pułkowników, przesyłam również szereg wiadomości.

(...)

Tak kończył się rok 1941. Rozpoczął się 1942. Jeśli chodzi o obóz w Oświęcimiu - najpotworniejszy, jeśli chodzi o pracę naszej organizacji w obozie - najciekawszy, w którym doszliśmy do największych osiągnięć.

... a tak się składa, że z braku czasu przed nową decyzją, muszę pisać niemal telegraficznym stylem.

(...)

Zmienił się również od dawna stosunek do księży, lecz z innego powodu. Na podstawie jakiegoś wpływu Watykanu osiągniętego przez sojusznicze Włochy na władzach Rzeszy, księża zostali wywiezieni do Dachau. Pierwszy raz w początku roku 1941; drugi transport księży z Oświęcimia do Dachau nastąpił w lipcu 1942 roku. W Dachau księża podobno mieli, w porównaniu do warunków tutejszych, zupełnie

możliwą egzystencję. W czasie pomiędzy tymi dwoma transportami poznałem w Oświęcimiu paru dzielnych księży, m.in. ks. 87, który był kapelanem naszej organizacji.

Mieliśmy zakonspirowane od niepożądanych oczu nabożeństwa i spowiedzi. Komunikanty otrzymywaliśmy od duchowieństwa z wolności dzięki kontaktom z ludnością spoza obozu.

(...)

W lutym 1942 r. przyszło pismo do wydziału politycznego od władz partyjnych z Berlina zabraniające odpowiedzialności solidarnej i rozstrzeliwania dziesięciu więźniów za jednego zbiega - podobno na skutek takich samych represji zastosowanych gdzieś w obozach dla Niemców. W tym czasie oficjalnie też odczytano rozkaz zabraniający bicia więźnia (ciekawe, czy to na skutek naszych meldunków?). Od tego czasu nie było wielkich represji w stosunku do pozostałych za ucieczki więźniów. Odżyły więc możliwości ucieczek i my, jako organizacja, zaczęliśmy montować i przygotowywać się do wysłania raportu do Warszawy za pomocą zorganizowanej ucieczki.

Po bolszewikach zostały wszy i straszliwy tyfus syberyjski, na który zaczęli masowo chorować nasi koledzy. Tyfus opanowywał obóz i robił ogromne spustoszenie. Władze zacierały ręce, spokojnie przyglądając się temu sojusznikowi w wykańczaniu więźniów.

Wtedy zaczęliśmy w laboratorium HKB hodować wszy tyfusowe i puszczać je na płaszcze esesmanów, przy każdym raporcie lub odwiedzinach kontrolnych naszych bloków.

Na bloku 15 powieszono na zewnątrz skrzynkę pocztową i ogłoszono na wszystkich blokach, że do tej skrzynki należy wrzucać listy - z podpisami lub bez - wszelkie donosy o podsłuchanych rozmowach na blokach. Za istotny dla władz obozu donos więzień miał być wyróżniony. Chciano zabezpieczyć się przed działalnością naszej organizacji. Sypnęły się anonimy i donosy. Wtedy my przez kpt. 88 otwieraliśmy skrzynkę co wieczór i przeglądaliśmy wrzucane meldunki, zanim o 22.00 otworzył ją Palitzsch. Niszczyliśmy niebezpieczne, niewygodne dla nas doniesienia i wrzucaliśmy sami donosy na osobniki szkodliwe. Zaczęła się walka papierowa.

(...)

To, czego obawiałem się kiedyś - wprowadzenia do organizacji oficerów pod prawdziwymi nazwiskami - miało rację bytu, gdyż w razie podejrzeń, że tu jest organizacja, przede wszystkim wzięliby się za oficerów, którzy tu siedzieli. Pewnego dnia wzięli płk. 62 i zamknęli do bunkra celi więziennej. Prowadzili go codziennie na badanie do wydziału politycznego, skąd wracał blady, ledwo trzymając się na nogach. Wtedy obawiałem się różnych komplikacji. Po przeszło dwóch tygodniach płk. 62 podszedł gdy byłem z kolegą 59 i powiedział: „No, powinszujcie, wypuścili. Pytali, czy jest jakaś organizacja w obozie.” Żegnając się ze mną, bo był gong na spanie, powiedział: „Nie bój się,

nie powiedziałem ani słowa. Jutro ci opowiem”. Lecz nazajutrz zabrano płk. 62 i przeniesiono do Rajska, widocznie właśnie dlatego, by nie mógł nam nic powiedzieć.

Dzielny był płk. 62.

Przywieziono przeszło stu Czechów. Była to sama inteligencja - organizacja „Sokół”. Ulokowano ich na naszej sali (blok 25, sala 7). Zaczęto ich kończyć w szybkim tempie. Wszedłem w kontakt organizacyjny z ich przedstawicielem 89 (żyje i jest w Pradze).

Po porozumieniu z płk. 64 oprowadzam mego przyjaciela, do którego mam wiele zaufania por. 29, po wszystkich naszych komórkach w obozie. Robię to na wypadek jakiegoś nieszczęścia ze mną. Por. 29 melduje płk. 64, że obeszliliśmy 42 komórki.

(...)

Organizacja stale rosła. Z kolegą 59 doprowadziliśmy do przystąpienia do nas płk. 23, ppłk. 24 oraz nowych ludzi: 90, 91, 92, 93, 94, 95. Wieloma kolegami opiekował się wspaniały człowiek, 44, oddał im też swoje jedzenie, sam bowiem zarabiał portretowaniem kogoś z władz i dostawał za to żywność dla siebie.

Transport z Warszawy (marzec 1942 r.) przywiózł znowu wielu moich znajomych i wiadomości o tym, co się robi u nas. Przyjechał mjr. 85, przezacny typ 96 z rekordem pobicia na Alei Szucha i na Pawiaku. Od

nich się dowiedziałem, że płk.1 znowu jest aresztowany i siedzi na Pawiaku. To płk. 1 skierował do mnie kolegę 96. Ulokowałem go przez 97, który do pracy naszej już przystąpił, u niego w komandzie.

Jednocześnie rozbudowaliśmy się w dwóch innych kierunkach, wciągając do pracy 98, 99 w biurze budowlanym oraz 100 i 101 w szpitalu. W tymże czasie zmarł prof. 69.

Jak na dwóch wielkich filarach organizacja opierała się na dwóch instytucjach: HKB i Arbeitsdienst. Gdy trzeba było kogoś ze swoich uratować z transportu i pod dach wsadzić, lub zabrać kogoś z komanda, gdzie już zaczynał podpadać czy wpadać w oko jakiemuś draniowi, albo gdy trzeba było wprowadzić do jakiegoś komanda nowy fragment pracy, wtedy się szło do dr. 2 i mówiło się: „Dziunku, jutro przyjdzie do ciebie nr..., którego musisz na jakiś czas przyjąć do szpitala”. Załatwiało się to też przez dr. 102. Gdy to już nastąpiło, a w pojęciu kapo więzień był i tak zgubiony, gdyż ze szpitala mało kto powracał, wtedy się szło do 68 i mówiło się: „Daj kartkę na nr... do komanda X”, lub czasami również z dobrym skutkiem do 103 - i sprawa była załatwiona.

W ten sposób przygotowywaliśmy również ucieczkę 25 i 44. Obaj pierwszorzędni ludzie i obaj siedzieli tu za broń. Sprawy mieli dowiedzione i byliby tu rozstrzelani na pewno. Kwestia tylko była w tym, jak szybko w wydziale politycznym oko Grabnera padnie na ich sprawy. Jakimś cudem dotychczas żyli. 44 malował portrety esesmanów i jego sprawę - możliwe, że dlatego - odkładano. Lecz długo tak trwać nie mogło.

Sposobem, który opisałem wyżej, w lutym 1942 roku przerzuciliśmy 25 do komanda „Harmensee” - rybne stawy, kilka kilometrów od obozu, gdzie więźniowie pracowali przy rybach i na tamtym terenie mieszkali. Znacznie później, w maju, poszedł tam 44 i tegoż dnia, w którym zjawił się z wiadomością ode mnie dla 25, by nie czekał na mnie, tylko wiał, obaj „prysnęli”. Zbiegli z domku przez okno, niosąc mój raport do Warszawy.

(...)

W tym czasie pracował tu były poseł 104. Do organizacji wtedy wciągnąłem kolegów 105, 106, 107, byłego żołnierza mojej partyzantki (1939 r.) - 108, oraz ppor. 109, 110, 111. Spośród malujących robione przez nas zabawki, gdzie poprzednio (krótco przed bunkrem) pracował płk. 62, wszedł do naszej organizacji - przekazany mi przez zwolnionego kpt.8 - pdch. 112.

Opanowaliśmy już wszystkie komanda, lecz do jednego nie mogliśmy się dostać. Wreszcie w lutym (1942 r.) będąc „kommandiert” i wracając późno do obozu, po powrocie na blok dowiedziałem się od 61, że był 68. „Funkstelle” potrzebował dwóch kartografów - kreślarzy map. 61 podał numer swój i naszego byłego kamandora 113. Po paru dniach okazało się, że komandorowi 113 trzęsie się ręka, więc przenieśliśmy go do komanda kartoflarni esesmańskiej, gdzie miał zapewnione dobre jedzenie, a na jego miejsce do „Funkstelle” wkręciłem się ja (po porozumieniu się w snycerni z 52).

Pracowaliśmy z 61 nad mapami parę tygodni. W tym czasie - po zorientowaniu się w sytuacji dzięki 77 - udało mi się wreszcie stąd, gdzie prócz pracy esesmanów przy stacji, odbywały się kursy, dostać brakujące nam lampy i inne części, na które polowaliśmy od dawna bez rezultatu.

Z części zapasowych wymiennych, do których mieli dostęp nasi więźniowie, po siedmiu miesiącach mieliśmy własną stację nadawczą, przy której pracował ppor. 4, w miejscu gdzie bardzo niechętnie wchodzili esesmani.

Jesienią 1942 roku przydługi nieco język jednego z kolegów był przyczyną tego, że musieliśmy stację rozmontować. Nadawaliśmy audycje powtarzane przez inne stacje, wiadomości dotyczące się ilości „zugangów” i śmierci w obozie, stanu i warunków, w jakich znajdowali się więźniowie. Władze się wściekały, szukały, zrywały podłogi w warsztatach na „Industriehof I”, w magazynach. Ponieważ nadawaliśmy rzadko, w rozmaitych godzinach, wykryć nas było trudno. Władze wreszcie zrezygnowały z poszukiwań w samym obozie, przenosząc takowe na tereny poza obóz, w rejon Oświęcimia. Podawane dokładne wiadomości z obozu tłumaczyli sobie kontaktem naszym z organizacją na zewnątrz przez cywilnych robotników. Szukano w Gemeinschaftslagrze.

A kontakt przez cywilną ludność rzeczywiście był. Droga do nas szła przez stykanie się z ludnością cywilną (wśród której byli członkowie organizacji na zewnątrz) w Brzeszczach, szła i Gemeinschaftslagrem

przez tych, co pracowali u nas, będąc pozornie naszą władzą. Droga szła też na Bunę przez kontakt z pracownikami cywilnymi.

W ten sposób przekazałem „na wolność” również wyniesiony z „Funkstelle” cały plik niemieckich skrótów szyfrowych tzw. „Verkehrsabkürzungen”.

Z wolności dostawaliśmy lekarstwa, zastrzyki przeciwtyfusowe. Pracowali przy tym z jednej strony dr. 2, z drugiej - mój kolega - 59. Był to ciekawy typ. Robił wszystko „na wesoło” i wszystko mu się udawało. Ratował, karmił u siebie na sali i w garbarni kilku kolegów, zanim ich nie podreperował tak, że dalej mogli sobie sami dawać radę. Stale kogoś przygarniał do garbarni. Szedł na całego, odważnie, z pewną nachalnością tam, gdzie inny by wsiąkł. Wysoki, szeroki w barach, z rozjaśnioną twarzą i wielkim sercem.

Kiedyś przyjechał z jakąś komisją Heinrich Himmler, a 59 w tym czasie był sztubowym na bloku 6 (stara numeracja) i był pouczony, jak ma składać raport Himmlerowi, przed którym się wszystko trzęsło. Gdy nastąpił ten uroczysty moment i Himmler wszedł na salę, 59 stanął przed nim i... nic nie powiedział. A potem roześmiał się i Himmler również się roześmiał. Może uratowało go to, że z Himmlerem byli dwaj jacyś cywilni panowie, a takie łagodne obejście się z więźniem robiło mu potrzebną reklamę stosunku do więźnia.

Innym razem, w garbarni, 59, widząc przez okno na dziedzińcu komisję, która zwiedzała warsztaty i kierowała się do drzwi, przez które miała wejść do wielkiej hali, gdzie pracowali garbarze, chwycił wąż gumowy i

niby robiąc porządek, oblewając ściany i podłogę, oblał specjalnie i dokładnie komisję złożoną z niemieckich oficerów. Udając ogromnie przerażonego rzucił węża na ziemię, stanął na baczność i... znowu nic mu nie było.

Kiedy kolumny więźniów wracały do obozu, zatrwożone posępnymi myślami, wtedy raptem 59 donośnym głosem wydawał komendy polskie, licząc głośno: raz, dwa, trzy...

Miał na pewno też i wady, lecz któż ich nie ma. W każdym razie miał stale wielu przyjaciół i zwolenników wokół siebie. Zaimponował im i wielu mógłby poprowadzić.

(...)

Organizacja rozwijała się dalej. Zaproponowałem płk. 64, by na dowódcę bojowego całości, na wypadek akcji, wyznaczył mego przyjaciela mjr. 85, któremu niegdyś w pracy konspiracyjnej w 1940 roku takie stanowisko przewidywałem w Warszawie. Płk. 64 chętnie się zgodził. „Bohdan” znał tu teren wokoło, niegdyś, przed laty, dowodził baterią 5 DAK.

Zdecydowałem wtedy, a płk. 64 projekt aprobował, by rozwiązywać plan ewentualnej akcji w zależności od zadań do wykonania, z których zasadniczych naliczyliśmy cztery. A to ze względu na to, że plan opanowania obozu, do którego - zgodnie z zadaniem końcowym tutejszej pracy - chcieliśmy przygotować zorganizowane oddziały, musieliśmy rozwiązywać dwojako. Inaczej wtedy, gdy byłby to dzień

pracy, inaczej w nocy lub w święto, gdy byliśmy na blokach. Także z powodu, że na blokach wtedy jeszcze nie mieszkaliśmy wszyscy całymi komandami. Inne więc wypadały kontakty, powiązania, inni dowódcy w pracy, a inni na blokach. Dlatego więc plan trzeba było oprzeć na zarysie zasadniczych zadań, dla wykonania których w każdym wypadku należało akcję opracować osobno.

Wyłoniła się wtedy potrzeba obsadzenia czterech dowódczych stanowisk. Na jedno z nich zaproponowałem więc płk. 60, na drugie - kpt. 11, na trzecie ppor. 61 proponował porucznika 115, na czwarte - kpt. 116. Ppłk. 64 i mjr. 85 zgodzili się z nami.

Wreszcie przy pomocy kolegi 59 i po dłuższych rozmowach o silnym zaakcentowaniu potrzeby zgody i podkreśleniu konieczności wytrwania w milczeniu, jeśli nawet ktoś z nas się znajdzie w bunkrze i badany będzie przez katów wydziału politycznego, wchodzi do nas i podporządkowuje się płk. 23 i ppłk. 24.

Pierwszorzędny Polak-Ślązak i mój przyjaciel, 76, na swoim odcinku pracuje bardzo wydajnie, zaopatrując nasze szeregi w bieliznę, umundurowanie, prześcieradła, koce ze swego magazynu. Daje pracę wielu naszym kolegom, między innymi koledze z pracy w Warszawie por. 117 i 39.

Dochodzi do organizacji naszej kolega 118, wachm. 119. Przyjeżdża z transportem z Krakowa dawny kolega z pracy w Warszawie dr. 120.

Pod Krakowem wykryto wtedy fabrykę bomb. Ludzi tych przywieźli i kończyli szybko. Dr. 120 jakoś się wykręcił, wyjechał transportem do innego obozu.

Czasami władze obozu podsylały nam szpicli. Jakiś volksdeutsch udający Polaka, który poszedł na pracę dla Grabnera, chcąc wykryć, czy u nas czegoś nie ma, zanim przyszedł do nas lub zaraz po przyjeździe był anonsowany przez naszych kolegów, mających styczność z esesmanami. Pan taki dostawał od nas zdobyte w szpitalu kropelki olejku krotonowego, które wpuszczono mu z ręcznie w jedzenie i wkrótce po tym miał taki rozstrój żołądka, że leciał szybko w HKB po jakieś lekarstwo. Tam, uprzedzeni o tym draniu (i zanotowaniu jego numeru), gdy przychodził, w nieszkodliwym lekarstwie dawali mu znowu parę kropel krotonowego olejku. Po paru dniach był tak osłabiony, że znów szedł do HKB, gdzie leżącemu robiono niby konieczny zastrzyk, zresztą sam w sobie nieszkodliwy, gdyby nie to, że zrobiony zardzewiała igłą.

W dwóch innych przypadkach sprawa miała jeszcze więcej posmaku sensacji. W pierwszym, gdy pan taki leżał już w HKB, prześwietlono mu płuca i zdjęcie wykazało, że ma otwartą gruźlicę (nie było to zdjęcie jego płuc). Klehrowi, nazajutrz, gdy obchodził sale, wskazano na niego jako TBC. To wystarczyło, zapisał jego numer. Pan ten nic nie wiedział, lecz gdy prowadzono go już na szpilę, zaczął się rzucać, grożąc Grabnerem. Drugi przypadek był prawie identyczny z tym, że był to nowy w obozie człowiek i idąc na szpilę nie wiedział nic i nikogo Grabnerem nie straszył. Został niespodzianie skończony igiełką.

Wkrótce jednak powstał wielki rumor, gdy Grabner od dłuższego czasu nie miał od nich raportów, a szukając, gdzie są, doszedł, że dawno przez komin wyszli dymkiem, a co więcej, że skończył ich jego człowiek, Klehr. Było dochodzenie w całym szpitalu, jak to tych dwóch tak szybko załatwiono. Od tego czasu Klehr, zanim szpilował, musiał listę ofiar wysłać do Grabnera, wśród których tamten uważnie szperał, czy nie znajdzie kogoś w spisie swoich pracowników.

(...)

W czerwcu odchodził transport z Oświęcimia do Mauthausen. Transportem tym pojechał (choć mógł być reklamowany) płk. 64, który miał zamiar, jak mówił, próbować w drodze ucieczki (co zresztą nie doszło do skutku). Tymże transportem wyjechali też pdch. 15, wachm. 119 i ppor. 67. Przed wyjazdem płk. 64 radził mi, żebym na jego miejsce zaproponował wejście płk. 121, co też zrobiłem. Płk. 121 zgodził się, wszedł do nas i pracowaliśmy nadal zgodnie. Prócz tego wszedł do nas płk. 122. W tym czasie rozstrzelany został płk. 23 i były poseł 70.

(...)

Kwitły i pachniały pięknie jaśminy, gdy w tym czasie rozstrzelano (zamordowano strzałem w tył głowy) pierwszorzędnego chłopca, st. uł. 123. Zostawił po sobie w mojej pamięci sylwetkę o dzielnej postawie i wesołej twarzy.

Wkrótce po nim rozstrzelany został (tym samym sposobem) jeden z najserdeczniejszych moich przyjaciół, dzielny oficer 13 p. uł., por. 29. Przekazał mi w spadku wiadomość o miejscu ukrycia w 1939 roku sztandarów dwóch pułków ułańskich (4 i 13).

Przesyłam znowu raport do Warszawy przez pdch. 112, który z trzema kolegami zmontował wspaniałą ucieczkę z obozu.

Byłem kiedyś dawno na filmie „10 z Pawiaka”. Śmiem sądzić, że ucieczka czterech więźniów z Oświęcimia, najlepszym w obozie autem komendanta lagru, po przebraniu się w mundury oficerów SS, na tle warunków tego piekła, może być dla filmu kiedyś tematem naprawdę doskonałym.

Główna wartownia (Hauptwache) prezentowała broń.

Lagerführer Hans Aumeier, spiesząc konno z Buny na wieczorny apel, spotkał auto z oficerami w drodze. Salutował im grzecznie, dziwiąc się nieco, że szofer prowadzi wóz na stary przejazd kolejowy, już teraz zamknięty. Auto się jednak szybko cofnęło i przejechało tor w innym miejscu.

Zwalił to na wódkę i słabą pamięć kierowcy.

Głowy mieli mocne - ucieczka się udała.

Lagerführer wrócił do Oświęcimia na sam apel, gdy wszyscy już stali w wyrównanych blokach. Tu się dopiero rozegrała scena. Zameldowano mu, że czterech brakuje na apelu, a co gorsza - że pojechali autem komendanta. Działo się to w baraku Blockführerstuby. Aumeier się prawie wściekł, rwał włosy na głowie, krzyczał, że ich przecież spotkał. Potem z rozpaczą cisnął czapkę na ziemię i ... nagle na głos się roześmiał.

Represji żadnych, rozstrzeliwań, ani też stójek dłuższych nie mieliśmy wtedy. Tak było już od lutego 1942 roku.

(...)

Latem raptownie przeniesiono do SK wielu więźniów. Było to zarządzenie wydziału politycznego na skutek przejrzania spraw, z których wynikało, że więźniom dowiedziono ich sprawy na ziemi. Ze znajomych moich kolegów i pracowników naszej organizacji w obozie, przenieśli do SK w Rajsku: plt. pdch. 26, por. 27, kpt. 124 (ojca) i 125 (syna). Po jakimś czasie otrzymałem trochę nieostrożnie wysłaną kartkę od por. 27, która jednak szczęśliwie nie „wpadła”, a w której pisał: „Zawiadamiam Cię, że ponieważ wkrótce musimy stać się obłoczkami już tylko, więc próbujemy szczęścia jutro, w czasie pracy... Szans mamy mało. Pożegnaj kiedyś, jeśli będziesz mógł i żył jeszcze na ziemi, rodzinę moją i powiedz, jeśli umrę, że zginąłem w walce...”. Nazajutrz przed nocą przynieśli wiadomość, że w dniu tym wieczorem na sygnał głoszący koniec pracy w Brzezince, więźniowie SK razem się rzucili, usiłując wszyscy dokonać ucieczki. Czy źle była przygotowana, czy może ktoś zdradził, bo trzeba by wszystkich uprzedzić, czy może

warunki były zbyt trudne, dosyć, że esesmani wszystkich prawie więźniów, około 70, położyli trupem. W łapaniu i zabijaniu sprawnie pomagali esesmanom Niemcy-kapowie.

Podobno paru zostawili żywych. Mówiono również, że kilkunastu zwiąło. Przez Wisłę przepłynęło podobno kilku. Wiadomości były jednak bardzo sprzeczne. Faktem jednak jest, że w trzy lata później dowiedziałem się od Romka G., iż będący w tej paczce 125 (syn mego współpracownika w Warszawie), jakimś sposobem wtedy śmierci uniknął.

(...)

Tymczasem w łyżkarni sytuacja tak się przedstawiała, że trzeba było myśleć o innej pracy, bo łyżek już zrobiono wiele tysięcy i można było przewidywać, że wkrótce komando nasze rozwiążą. Wtedy na skutek wpływów moich przyjaciół 111, 19 i 52 zrobiono mi miejsce przy warsztacie stolarskim wśród wybranych stolarzy (dawno kiedyś, przez Konrada). Na razie pracowałem z mistrzem-stolarzem 111 przy jednym warsztacie, lecz gdy 111 i 127 zachorowali kolejno na tyfus, zostałem sam przy warsztacie i udawać miałem stolarza-fachowca, odpowiedzialnego za pracę warsztatu.

Kapo był nowy, który po śmierci wariata „Hulajnogi” (tyfus) objął komando stolarzy w garbarni. Pozycja moja stała się trudna. Dostawałem rysunki na obstalowane meble, które musiałem sam stworzyć z drzewa. Jakkolwiek robiłem tylko dwanaście dni, sam jeden pracując przy tym warsztacie, przyznam się, że nerwowo zmęczyłem się

bardzo. Nie mogłem podpaść, a nie byłem fachowcem. W każdym razie szafę składaną robiłem i chociaż na jej wykańczanie przyszedł do mego warsztatu pierwszorzędnym majster 92, jednak przez tych dwanaście dni udało mi się bez wpadki wobec kapryśnego, lecz głupiego kapa, udawać majstra-stolarza. Nie byłem przecież w stolarce zupełnym nowicjuszem (resztę trzeba było nadrobić sprytem), lecz przyjdzie 92 do mego warsztatu, który on sobie obrał tendencyjnie, przyjąłem z prawdziwą radością.

Odtąd miałem więcej czasu, który poświęcałem wiązaniu tu „siatki”, na uzgadnianie posunięć w pracy naszej organizacji, spotykając się z kolegami we właściwej garbarni lub pod pretekstem wyboru materiału w szopie, gdzie leżały deski, konferując z 50 i 106 na stosie nowych sienników, które tu sięgały pod sam dach. Przez szczeliny w dachu obserwowaliśmy ruchy Erika lub komendanta, jak z doskonałego punktu obserwacyjnego.

(...)

Z naszej paczki stającej na apelu na czele bloku, z trzydziestu chłopów wkrótce zostało siedmiu, może ośmiu. Reszta umarła na tyfus. Z pracowników naszych zginęli: dzielny „Wernyhora” - 50, a także 53, 54, 58, 71, 73, 91, 94, 126 i nieodżałowany przyjaciel - 30. Zresztą czy mogę o kimś jednym pisać, że jest „nieodżałowany” - wszystkich żałowałem. Kpt. 30 bardzo starałem się ratować. Był zawsze wesół, ludzi podtrzymywał własnym humorem i miską repety; koło niego żyło zawsze szereg ludzi. Przed samym tyfusem dostał nagle zakażenia krwi, które udało się zlikwidować: dr. 2 zrobił mu szybko operację ręki i niebezpieczeństwo usunął. W tydzień później dostał tyfusu, poszedł na

blok 28, gdzie leżąc parę dni, gościnnie zapraszał kolegów, by jedli jemu przynoszone smakołyki z „kanady”. Mówił wtedy głośno: „Bóg dał, dobrzy ludzie przynieśli, więc jedzcie!”. Miał wielką gorączkę, a mimo to gadał, z humorem opowiadał o tym, że musi żyć, że choćby z głową pod pachą, wyjdzie z Oświęcimia, bo przeszedł straszne rzeczy w Hamburgu i że ze swoją Jasią jeszcze się zobaczy. I tak, mówiąc ciągle, dostał zapalenia opon mózgowych. Przeniesiono go na blok 20. Robiono mu punkcje. Opiekę miał troskliwą, lecz nic już nie pomogło. Wyszedł z Oświęcimia - jako dym z komina.

Mam od niego polecenie: „Isjago”. Kto to zrozumie, niech się do mnie zgłosi.

Był więc rozchód u nas (lato 1942 r.), lecz był również i przychód. W tymże czasie do organizacji naszej doszli nowi koledzy, chociaż niektórzy z nich siedzieli już dawno w obozie: 128, 129, 130, 131, 132, 133, 134, 135, 136, 137, 138, 139, 140, 141, 142, 143, 144.

(...)

Stosunkowo szybko stawałem na nogi. I w czasie kwarantanny, schodząc na dziedziniec, rozmawiałem z przyjaciółmi przez kraty odgradzające blok „zapowietrzony”. Przyjaciel 76 przychodził z nową informacją o gałęzi organizacji, którą świeżo powiązał, 61 - z projektem wyjścia na wolność przez podkop z bloku 28, zainicjowanym przez 4, a rozpoczętym przy pomocy 129 i 130; przyjaciel 59 - z propozycją

scalenia nowych i podziału wszystkich naszych sił, a także wyznaczenia dowódców poszczególnych grup na stałe, czego chciał również i płk 121 (gdyż zaszły zmiany po ostatnim odwszeniu).

Wtedy opracowałem plan scalania i podziału w ten sposób:

Ponieważ po generalnym odwszeniu władze obozu ulokowały więźniów na blokach komandami, a więc odpadła potrzeba rozwiązywania planu zadań na moment opanowania obozu w dwojaki sposób (tzn. moment pracy i moment na blokach, w obozie), więc za podstawę wziąłem bloki.

Każdy blok to był pluton, tzn. ci, co do organizacji należeli i na tym bloku mieszkali, bez względu na pierwotne więzi organizacyjne stanowili od tej chwili szkielet plutonu, który w momencie „wybuchu” stałby się tak wielki, jak wielu zdołają za sobą porwać, unieszkodliwiając od razu element proniemiecki.

Blok X - więźniowie na parterze i blok Xa - na piętrze stanowiły razem dwuplutonową kompanię, mieszczącą się w jednym budynku, z dowódcą kompanii na miejscu. Kilka bloków-budynków stanowiło batalion.

Podzieliłem całość na cztery bataliony. Na dowódcę całości - w sensie akcji bojowej - zaproponowałem jak dotychczas mjr. 85.

Na dowódcę I baonu - mjr. 150 (bloki: 15, 17, 18).

Na dowódcę II baonu - kpt. 60 (bloki: 16, 22, 23, 24).

Na dowódcę III baonu - kpt. 114 (bloki: 19, 25, kuchnia oraz personel szpitala z bloków 20, 21, 28).

Na dowódcę IV baonu - kpt. 116 (bloki: 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).

Od zorganizowania reszty bloków powstrzymałem się ze względów technicznych, gdyż były to albo dopiero obsadzone, jak: 1, 2, albo użyte na skład, jak: 3, 26 i 27, albo w trakcie wykańczania budowy, jak: 12, 13, 14, albo blok specjalny 11.

Plan ten odpowiadał płk. 121 i na takowy zgodził się.

(...)

Różni koledzy różnie do tego podchodzili. Mnie na razie pieniądze były niepotrzebne, lecz kiedy znacznie później chciałem uciec z obozu i pieniądze na drogę mogły się przydać, to zwróciłem się do jednego z więźniów, mówiąc, że możemy wyjść razem i pytając, czy ma pieniądze na wszelki wypadek. Powiedział, że obliczy, co uzbierał i odpowie mi jutro. Nazajutrz powiedział, że ma złota przeszło kilogram. Lecz tak się stało, że wyjście z nim mi się nie ułożyło. Wyszedłem z takimi, co właśnie złamanego szeląga przy duszy nie mieli. Jest to jednak historia

znacznie późniejsza - na razie wyjść jeszcze nie zamierzałem, czekając na moment najciekawszy w obozie, ku któremu cała praca była skierowana.

Opanować obóz mogliśmy od paru miesięcy nieomal codziennie. Czekaliśmy na rozkaz, rozumując, że bez takowego, chociaż byłby to piękny fajerwerk, i dla świata i dla Polski niespodziewany, i że nie możemy pójść na to, kierując się tylko własną nadzieją, dla której panu X czy Y taka rzecz się udała. Nie wolno nam bez komendy pójść na takie ryzyko.

A pokusa nękała codziennie. Rozumieliśmy jednak dobrze, że byłoby to potwierdzeniem naszych wad narodowych sprzed wieków. Wykwit ambicji, prywatnie, za którą represje mogły być potem wielkie na całym Śląsku. Tym bardziej, że wtedy jeszcze trudno było przewidzieć, jak się potoczą wypadki.

Mieliśmy ciągle jeszcze wielką nadzieję, że będziemy mogli odegrać rolę jako zorganizowana część w skoordynowanej z całością akcji. W tamtą stronę szły nasze meldunki, z którymi polecane było dotrzeć do samego komendanta. Z obawy przed możliwością nieostrożnego kroku gdzieś na wolności, należało unikać w przekazywaniu meldunków wszelkich pośredników. Nie byliśmy pewni, jak głęboko sięga wywiad niemiecki w nasze komórki u góry, może nawet w stojące na czele całej Konspiracji w Polsce. Była zawsze obawa, że gdy wywiad niemiecki rzecz przewącha - rozwałą tutaj w obozie najenergiczniejsze jednostki.

W tym stanie rzeczy przyszło do obozu echo pacyfikacji Lubelszczyzny. Najprzód wśród palonych rzeczy i gorszych, podniszczonych butów pewnego dnia znaleziono buty, wiejskie, wielkie i małe, potem - ubrania polskich chłopów, książeczki do nabożeństwa w języku polskim i proste, wiejskie różańce.

Wtedy przeszedł pomruk przez nasze „piątki”. Zaczęto stawać grupkami. Pięści zaciskały się niecierpliwie.

Były to rzeczy przywiezione po naszych, polskich rodzinach zagazowanych w komorach w Brzezince. Po pacyfikacji Lubelszczyzny (mówili nam koledzy z Rajaska), przywieziono tu, do gazu, ludność z kilku polskich wiosek. Tak już jest na świecie i trudno na to poradzić, kiedy palono rzeczy ludzi przywiezionych tu gdzieś z zagranicy, choć zawsze to dla nas było potwornym dziełem i w garbarni, gdzie buty, walizki przez szereg miesięcy stanowiły złowieszcze echo zbrodni, jednak teraz, gdy widziało się małe buciczki, kobiecą bluzkę, a między tym wszystkim różaniec, serca zabiły żywiej chęcią zemsty.

(...)

Dnia 28 października 1942 roku rano na apelu, w różnych blokach pisarze (Schreiber) zaczęli wywoływać numery więźniów mówiąc, że wywołani mają pójść do „Erkennungsdienst” dla sprawdzenia fotografii.

Wywołano razem dwustu czterdziestu kilku więźniów - wyłącznie Polaków - jak później stwierdziliśmy - przeważnie Lubliniaków, z dodaniem około czwartej części Polaków, którzy z lubelskimi transportami nic nie mieli wspólnego, zaprowadzili na razie na blok 3-ci, co nam już wydało się być podejrzanym, dlaczego nie od razu na blok 26-ty, gdzie mieścił się „Erkennungsdienst” - niby-powód wywołania.

(...)

Na razie nie wiedzieliśmy, czy ich rozstrzelają - myśleliśmy, że może to tylko plotka.

Tak wielkiej ilości więźniów naraz nigdy dotychczas nie rozstrzelali. Męczyła nas maska pozornej bierności, gdy byliśmy gotowi - pragnęliśmy akcji. W górze organizacji nieomal gryźliśmy palce gotując się na wszelki wypadek do rozgrywki.

Gdyby wśród tamtych wybuchł bunt i opór, wtedy byśmy wszyscy przystąpili do akcji.

Bunt by rozpalił szeregi - byłby to vis maior, który by nam rozwiązał ręce.

Po drodze do obozu naszych pięć setek zdrowych warsztatowców miało biuro budowlane, a pod nim magazyn zapasowy broni.

Zresztą wtedy nie było to trudne - chłopcy się palili. Na śmierć każdy zawsze był gotów, ale przedtem krwawo byśmy odpłacili katom. Tych dziewięć marnych wieżyczek i z głównej wartowni, dwunastu zaledwie „gemeinów”, którzy podczas eskorty nosili karabiny na pasach przyzwyczajeni do naszego spokoju, a brali je do ręki dopiero przed obozem, w obawie przed władzą.

Żeby chociaż jakimś cudem z Warszawy przyfrunęło jedno słowo: można, i to dzisiaj, by ratować tamtych.

Tak, to były mrzonki...

Czy ktoś wiedział, myślał? Pewnie z oddali można powiedzieć, że to był tylko fragment polskiego cierpienia. A jednak jakże wtedy było nam ciężko, gdy po południu przyszła wiadomość, że wszystkich - spokojnie, bez przeszkód – rozstrzelali.

(...)

Czemuż szli więc? Lękali się o siebie? Czegóż mieli się lękać w takiej chwili, gdy i tak szli na śmierć? Wyglądało to już na psychozę. Lecz oni szli, bo mieli w tym swoje racje. Zapowiadane przez władze, potwierdzone przez kolegów przyjeżdżających z wolności, wieści o tym, że za wybryk aresztowanego odpowiadała cała rodzina robiły swoje. Wiadomym było, że Niemcy w stosowaniu represji są bezwzględni i

uśmiercają rodziny, wykazując w takich wypadkach bestialstwo, na jakie ich tylko stać. Jak wygląda bestialstwo? - któż od nas lepiej wiedział.

Widzieć lub tylko wiedzieć, że matka, żona, dzieci znalazły się w takich warunkach, jak tu kobiety w Brzezince, wystarczyło do paraliżowania wszelkich chęci rzucenia się na oprawców.

Co innego cały obóz. Opanowanie, zniszczenie akt... Kto by miał odpowiadać? Trudno by było sięgnąć po dziesiątki tysięcy rodzin naraz. A i to po dłuższych rozważaniach uzależniliśmy przecież od rozkazu ze względu na możliwość represji, ze względu na chęć skoordynowania akcji. Przyzwyczajonym do śmierci, z którą kilka razy stykało się codziennie, łatwiejsza była myśl o śmierci własnej, niż myśl o strasznym ciosie w najdroższe nam osoby. Nawet już nie tylko ich śmierć, lecz te okropne przeżycia, zabieranie twardą, bezwzględną ręką ukochanych istot z tego świata, złamanie ich psychiki i wtrącenie w świat inny, w świat piekła, do którego nie wszyscy łatwo przechodzą... Myśl, że stara matka czy ojciec ostatkiem sił brnie gdzieś po błocie, szturchani i bici kolbą z przyczyn syna... Lub, że dzieci idą na śmierć do gazu z powodu swego ojca, było o wiele ciężiej, niż myśleć o własnej śmierci. A nawet jeśli był taki, dla którego był to poziom zbyt wysoki, to jednak szedł wiedziony przykładem innych. „Wstydził się „ - to za słabe słowo; nie mógł wyłamać się z kolumny o pięknej postawie, tak hardo na śmierć idącej!

(...)

Przywieźli nowy transport więźniów z Pawiaka, z Warszawy, wśród których przyjechali moi przyjaciele i niegdyś współpracownicy w TAP w Warszawie: ppor. 156, 157, 158. Przywieźli oni ciekawe dla mnie wiadomości. 156 opowiadał mi, jak dotarł do Warszawy z Oświęcimia 25 i jak potem on go sam odwoził do pracy autem do Mińska Litewskiego. Natomiast 158 opowiadał mi ze szczegółami, jak na wiadomość ode mnie przesłaną przez sierż. 14 w sprawie grożącego nadesłania niewygodnych dla mnie danych z ksiąg metrykalnych z miejscowości Z., szwagierka moja pospieszyła do niego. Poczciwy przyjaciel 158 tego dnia wsiadł do pociągu i pojechał do miejscowości Z., gdzie w parafii rozmówił się z księdzem, tłumacząc mu o co chodzi. Ksiądz zanotował ołóweczkiem w księdze koło właściciela mojego obozowego nazwiska i obiecał sprawę pomyślnie załatwić. Co widocznie i zrobił, bo w sprawie mojej była w wydziale politycznym cisza.

Kolega 156 pokazał mi wśród nowo przybyłych do obozu kpt. 159 z Komendy Głównej w Warszawie - był to zastępca „Iwo 11”. Jeden z członków naszych 138 znał kpt. 159 osobiście, będąc niegdyś jego podkomendnym, a obecnie będąc tu blokowym, łatwo roztoczył nad nim opiekę (kolega 156 razem z pracującym już tam 117 przygarnął do pracy 76). Odtąd dwaj TAP-owcy pracowali i mieszkali razem.

Z członków TAP, których znałem niegdyś w Warszawie przeszło przez Oświęcim: 1, 2, 3, 25, 26, 29, 34, 35, 36, 37, 38, 41, 48, 49, 85, 108, 117, 120, 124, 125, 131, 156, 157, 158. Z powodu, że 129 był rozstrzelany, a 130 zmarł na tyfus, niemożliwym było kontynuować rycie podkopu z 28 bloku. „Podkop” nie wpadł, w innej sprawie aresztowano 5.

Późną jesienią 1942 roku, gdy do kopcowania ziemniaków użyci zostali blokowi, to i 4 chodził również daleko do pracy przy ziemniakach w polu. Zdezorientowany esesman z wydziału politycznego, Lachmann, przyszedł po niego w jakiejś sprawie, lecz 4 był nieobecny. Lachmann zawrócił i odszedł. Koledzy szybko się zorientowali, wpadli do pokoju 4, który jako blokowy 28 bloku miał swój pokój i usunęli wiele takich przedmiotów, które by jeszcze więcej skomplikowały sprawę.

Ktoś musiał puścić farbę...

Lachmann doszedł tylko do bramy i jakby tknięty czymś wrócił i zrobił gruntowną rewizję pokoju 4, ale już nic nie znalazł. Na 4 jednak już czekał i zaraz po przyjsciu jego z pracy wieczorem, aresztował go, zaprowadził do bunkra i 4 już więcej na blok 28 nie wrócił. Był badany na bloku 11, w bunkrach i w wydziale politycznym. Choć ostatnio 4 miał pewną przykrą manię, lecz trzeba mu oddać sprawiedliwość, że dzielnie znosił tortury-badania w bunkrach i nie powiedział ani słowa, choć wiedział bardzo wiele. Na nim się urwało. Stało się, że zachorował na tyfus i przeniesiony został z bunkra na blok tyfusowy. Trzeba samemu przejść pewne stopniowanie, by zrozumieć, że tak jak dla więźniów znajdujących się w obozie przestrzeń za drutami była wolnością, tak dla siedzącego w bunkrze wolnością był teren obozu. Wydostanie się więc z bunkra - chociaż w stanie chorobowym - na blok tyfusowy było dla niego namiastką namiastki wolności. Lecz i tu stale prawie asystował mu esesman. Lachmann nie dawał za wygraną. 4 jednak miał twardy charakter i silną wolę. Pewnej nocy przestał żyć...

Wspomniani już koledzy, którzy przyjechali z Warszawy (156, 157, 158) mówili, że nie spodziewali się zastać w Oświęcimiu tak dobrego stanu duchowego i fizycznego więźniów. Oświadczyli, że nie wiedzieli nic ani o sposobach tutejszego katowania, ani o „ścianie płaczu”, ani o fenolu, ani też o komorach gazowych. Oni sami nie myśleli - i w ogóle w Warszawie nikt poważnie nie myślał - o Oświęcimiu jako placówce o pewnej sile, że raczej mówiło się, że to już są tylko kościotrupy, których ratować nie warto, bo się nie opłaci. Gorzko było tego słuchać, patrząc na dzielne sylwetki kolegów. Więc tu idą na śmierć wartościowi ludzie i giną tylko dlatego, by nie narazić kogoś na wolności, a tam o ileż słabsi ludzie mówią o nas z lekceważeniem jako o kościotrupach. Jakiego samozaparcia trzeba, by nadal ginać, żeby oszczędzić braci bawiących na wolności. Tak, zbyt silnie uderzały w nas wszelkie metody niszczenia w obozie, a tu jeszcze taka ocena z wolności i to stale ignorujące milczenie...

Cztery bataliony miały podzieloną służbę w ten sposób, że każdy batalion przez tydzień był służbowym, tzn. że jego zadaniem było wystąpienie w razie jakiegoś nalotu, zrzutu broni. Do niego też szły przez tydzień wszelkie zorganizowane artykuły dostarczone tu przez 76, 77, 90, 94, 117, dzielił także między szkieletowe plutony żywność i bieliznę.

(...)

Pisałem już, że przyglądaliśmy się „zugangom”, gdyż nigdy nie wiadomo było, co taki kolega z wolności robi, lecz i nasi starzy więźniowie czasem robili niespodzianki. A mianowicie przez

lekkomyślność jednego z naszych przyjaciół, uświadomiony zbyt szeroko 161, typowy schizofrenik, pewnego dnia namalował dwa dyplomy honorowe na „odznakę podwiązki” za pracę niepodległościową na imię płk. 121 i kolegi 59. Mnie oszczędził na skutek interwencji tego przyjaciela. I z dyplomami zwiniętymi w rulony szedł w porze obiadowej przez plac obozu, by pochwalić się swym wyczynem w szpitalu. Mógł być zatrzymany przez esesmana lub jakiegoś kapo i zapytany wprost, co niesie, i mógł narazić kolegów na wielkie komplikacje, a może i szersze grono. Pokazał dr. 2 mówiąc o mnie, że tylko ja mam głowę itp. I dlatego dla mnie nie namalował „dyplomu”. Dr 2 przy pomocy dra 102 udało się dyplomy mu odebrać i zniszczyć. 161 był jednak niepoprawny i pewnego razu ciemnym wieczorem wywołany zostałem przez kolegę 61 z bloku 22, który mnie podprowadził do jakiegoś esesmana. Okazał się nim właśnie 161 przebrany w mundur i płaszcz esesmański. Potrafił to wykorzystać w zmontowanej wkrótce po tym ucieczce.

(...)

Koledzy 167 i 168 montowali ucieczkę. Kontakt nawiązany był z Krakowem przez cywilną ludność. W paru miejscach miały być przygotowane ubrania i łączniczki. 167 proponował i mnie wyjście razem z nim. Omawiając ze 168 szerzej ich sposób umknienia, wywnioskowałem, że plan nie jest dopracowany w szczegółach. Dwóch esesmanów, co chodzili z nimi na pomiary, a wstępujących czasami wbrew zakazowi władz obozu do knajpy na wspólną wódkę, mieli więźniowie spoić i związać. Tu planowano, że jeśli się nie uda ich spoić, to decydują się na „mokrą robotę”. Wtedy w imieniu organizacji zaprotekowałem kategorycznie. Na taki plan ich wyjścia, mogący narazić na wielkie represje pozostałych więźniów, organizacja nie

mogła się zgodzić. Sztuką było wyjść, lecz wyjść trzeba było tak, żeby nie spowodować ciężkich skutków dla obozu. Zaczęli się więc przygotowywać do uśpienia esesmanów luminalem. Sproszkowany, zdobyty w HKB, dawany w wódce, zastosowany w próbach na kapach, nie dawał pożądaných rezultatów, gdyż nie rozpuszczał się w wódce i zostawał w szklankach na dnie, tworząc osad. Mieli więc luminal dawać w cukierkach.

(...)

Komisja lekarska podziwiała stan zdrowotny, doskonale rozwiniętych fizycznie i na ogół prawie dobrze odżywionych więźniów - Polaków (za wyjątkiem nowo przybyłych zugangów), kiwając głowami i mówiąc: jak oni się tu tacy uchowali... Poza paczkami i „kanadą” była to w pewnym procencie zasługa organizacji, tu było widać rezultaty.

Lecz moim zadaniem była ciągłość pracy tutaj. Z kim jednak bym został? Zacząłem z niektórymi omawiać tę sprawę. Płk. 11 i Kazio 39 cieszyli się, że jadą. Przeznaczeni byli do Buchenwaldu, podobno jednego z lepszych obozów. Przyjaciel mój, płk. 11 był zdania, że moim obowiązkiem jest, mimo wszystko pozostać nadal w tym piekle. Miałem wiele czasu na przemyślenia. Badanie posuwało się bardzo wolno. Staliśmy przez cały dzień i część nocy. Do nas, z płk. 11 i ppor. 61 kolejka doszła około drugiej w nocy. Już znacznie wcześniej zdecydowałem się próbować pozostać w Oświęcimiu. Przez kolegę 169, który miał możliwość poruszania się, dostałem z HKB pas na rapture, której wcale nie miałem. O drugiej w nocy komisja była już zmęczona. Płk. 11, starszy ode mnie o kilkanaście lat i w porównaniu ze mną chudzielec, został jednak przez komisję uznany za zdolnego do robót i

na transport zaliczony. Lecz gdy ja stanąłem nago przed komisją, z nałożonym pasem na fikcyjną rupturę, lekarze zamachali rękami i powiedzieli: „Weg! Takich nam nie potrzeba!”, i do transportu mnie nie przyjęto.

Odmaszerowałem na blok 12 i po zameldowaniu się tam z kartką zwolnienia z transportu, zaraz potem wróciłem na blok 6, na własne łóżko, a nazajutrz do normalnej pracy w paczkarni.

11 marca po odrzuceniu niezdolnych do pracy lub takich, co za niezdolnych starali się uchodzić, wywieźli zdrowych Polaków - 5 tysięcy z jakimś małym dodatkiem.

Ponieważ do paczkarni przysyłali nam z głównej izby pisarskiej dokładną listę z numerami więźniów wywiezionych, celem wysyłania nadchodzących dla nich paczek żywnościowych, toteż dokładnie stwierdziliśmy, że tych pięć tysięcy kolegów-Polaków pojechało w pięciu różnych kierunkach, mniej więcej po tysiąc do każdego z wymienionych obozów: Buchenwald, Neuengamme, Flossenbug, Gross-Rosen, Sachsenhausen.

Zasadniczy trzon góry organizacyjnej potrafił od transportu się wykręcić, więc pracowaliśmy dalej.

(...)

Wtedy zdecydowałem, że dalsze siedzenie moje tutaj jest już zbyt dla mnie niebezpieczne i niełatwe. Po przeszło 2,5 latach trzeba by zaczynać pracę „wiązań” od nowa, z nowymi ludźmi. 13 kwietnia przed południem poszedłem do piwnicy bloku 17, gdzie w osobnym pokoiku pracował kpt. 159 z Komendy z Warszawy, którego sylwetkę znałem, bo pokazywany był mi nieraz przez rozstrzelanego ppor. Staśka 156 i mjr. 85, a z którym dotychczas nie miałem rozmowy ze względu na oddanie go pod opiekę naszemu członkowi 138. Odbyłem z nim pierwszą rozmowę. Powiedziałem: „Siedzę tu dwa lata i siedem miesięcy. Prowadziłem tu robotę. Ostatnio nie dostawałem żadnych dyspozycji. Obecnie Niemcy wywieźli naszych najlepszych ludzi, z którymi pracowałem. Trzeba by było zaczynać od początku. Uważam, że dalsze siedzenie moje tutaj nie ma sensu. I dlatego wychodzę.”

Kpt. 159 spojrział na mnie zdziwiony i powiedział: „No tak, rozumiem pana, lecz czy można kiedy się chce przyjeżdżać i wyjeżdżać z Oświęcimia?” Odpowiedziałem: „Można”.

Od tej pory cały mój wysiłek skierowany był na wyszukanie najwłaściwszej drogi wyjścia. Następnie rozmawiałem z mjr. 85, który wtedy był w szpitalu u dr. 2 jako niby-chory, odpoczywał tam i w ten sposób uniknął transportów, gdyż chorych na razie nie brano. Kategorię miał jednak „A”. Udało mi się go, jeszcze przed wyjściem urządzić w pracy w paczkarni. Przyszedłem do niego jako do znającego dobrze teren wokół Oświęcimia z pytaniem, gdzie by on poszedł i jaki mi radzi kierunek. Zygmunt spojrział na mnie z niedowierzaniem i powiedział: „Gdyby to kto inny mówił, myślałbym że kpi ze mnie, ale że to ty, to wierzę, że wychodzisz. Ja bym szedł na Trzebinie, Chrzanów.” Pokazałem mu wyjętą z zanadrza mapę terenu Oświęcimia (skala

1:100000), otrzymaną od 76. Ja miałem zamiar iść na Kęty. Pożegnaliśmy się serdecznie. Powierzyłem jemu, Bohdanowi, troskę o całość w razie akcji.

Poszedłem do przyjaciela 59 i jemu powierzyłem stronę organizacyjną całości w oparciu też o dzielnego, naturalnego w podejściu płk. 121, który był oficjalnym kierownikiem całości i przyjacielem 59.

Teraz już należało wyjść... i to naprawdę. Jest zawsze pewna różnica pomiędzy powiedzeniem, że się zrobi a samym dokonaniem tego. Dawno już, przed laty, pracowałem nad tym żeby te dwie rzeczy spajać w jedną całość. Lecz przede wszystkim byłem wierzącym i wierzyłem, że jak Bóg zechce pomóc, to wyjdę na pewno. Był jeszcze jeden powód, który decyzję moją przyspieszył. Dowiedziałem się przez dr. 2 od zugangów, którzy przyjechali z Pawiaka, że 161, który uciekł razem z arbeitsdienstami z Oświęcimia, złapany został w Warszawie i więziony jest na Pawiaku. Nie mając do tego człowieka zaufania (i z powodu plotek co do jego przeszłości i z powodu zbieranego tu bez skrupułów złota w postaci koronek na zębach zmarłych, jak i z powodu historii z „dyplomami”, które namalował za pracę w organizacji płk. 121 i 59) brałem pod uwagę, że on, ratując własne życie, może pójść na pracę dla Niemców i zacząć opowiadać o tym, co podejrzwał w obozie. Na ten temat rozmawiałem z dr. 2, z kolegą 59 i z kolegą 106, byłem zdania, że ci, o których wiedział, że są w organizacji (sama góra) muszą stąd wyjść.

(...)

Następnie przyjaciel 25 przysłał z Warszawy paczkę z najnowszymi środkami walki z najeźdźcą i list, w którym pisał, że w Warszawie bardzo przychylnie się ustosunkowali nie do akcji na Oświęcim (a miałem taką nadzieję), lecz do odznaczenia mnie za pracę w Oświęcimiu. Przyjaciel wciąż też miał nadzieję, że sprawa zezwolenia na akcję pójdzie dobrze. Tymczasem w lipcu otrzymałem list z tragiczną informacją o aresztowaniu gen. Grota. Wobec sytuacji nieco gorączkowej w Warszawie, zrozumiałem, że teraz odpowiedzi w sprawie Oświęcimia nie mogę tu oczekiwać i zdecydowałem pojechać do Warszawy.

23 sierpnia byłem już w Warszawie. We wrześniu przyjechał do Warszawy Jasio, w grudniu - Edek. Pracowałem w Warszawie w jednej z komórek KG. Przedstawiłem odpowiednim czynnikiem sprawę pozostałych w Oświęcimiu kolegów i potrzebę wyraźnego postawienia tam organizacji.

Dowiedziałem się, że 161 będąc na Pawiaku, sypał górę organizacji w Oświęcimiu, że poszedł na pracę dla Niemców. Został zwolniony z Pawiaka i chodził po Warszawie z pistoletem w kieszeni, wkrótce został zlikwidowany na Placu Napoleona.

Byłem w kontakcie listowym z kolegami w Oświęcimiu przez ich rodziny na wolności. Podtrzymywałem na duchu, lecz uważałem, że to za mało. Wkrótce przyszła wiadomość, że zgineli przez rozstrzelanie /może na skutek zeznań 161/ szereg przyjaciół w Oświęcimiu, z góry naszej tam organizacji.

(...)

Nie to jest ważne, co napisałem dotychczas na tych kilkudziesięciu stronach, szczególnie dla tych, co będą je czytać li tylko jako sensację, lecz tutaj chciałbym pisać tak wielkimi literami, jakich nie ma, niestety, w maszynowym piśmie, żeby te wszystkie głowy, co pod pięknym przedziałkiem mają wewnątrz przysłowiową wodę i matkom chyba tylko mogą dziękować za dobrze sklezione czaszki, że owa woda im z głów nie wycieka - niech się trochę zastanowią głębiej nad własnym życiem, niech się rozejrzą po ludziach i zaczną walkę od siebie, ze zwykłym fałszem, zakłamaniem, interesem podtasowanym sprytnie pod idee, prawdę, a nawet wielką sprawę.

Płk. Witold Pilecki

Wyboru dokonał Adam Talarowski